

Wiele upadków keynesizmu

Autor: **Llewellyn H. Rockwell, Jr.**

Źródło: lewrockwell.com

Tłumaczenie: **Dorota Sadowska**

Dla wszystkich, oprócz najbardziej oddanych zwolenników keynesizmu, powinno być oczywiste, że stymulowanie zagregowanego popytu nie osiągnęło zamierzonego celu. Kombinacja bezpośrednich wydatków Kongresu, desperackich planów reflacji na rynku nieruchomości, prób transfuzji cudzych pieniędzy do broczących krwią przedsiębiorstw i kreowania bilionów w sztucznym pieniądzu nie zdziałała kompletnie nic, jeśli chodzi o podźwignięcie gospodarki Stanów Zjednoczonych.

Właściwie jest wręcz przeciwnie. Wszystkie te wysiłki powstrzymały proces dostosowania się gospodarki po okresie wzrostu koniunktury. A wszystkie środki pochłonięte przez kreowanie tych bodźców zostały wyciągnięte z sektora prywatnego, bo — jak wszyscy wiemy — rząd nie ma żadnych własnych zasobów. Każde jego przedsięwzięcie musi korzystać z zasobów prywatnych przedsiębiorców i ogółu obywatelu kraju — jeśli nie natychmiast, to na pewno w przyszłości.

To nużące, że musimy uczyć się tego od nowa, zaledwie 38 lat po tym, jak doświadczyliśmy kolejnego upadku paradygmatu Keynesa. Zabarwienie tej teorii było w tamtych dniach nieco inne. Dostrajające działania rządu miały w domyśle operować według określonego modelu, w którym istniała wymienialność pomiędzy inflacją a bezrobociem wynikłym z recesji. Jeśli bezrobocie było zbyt wysokie z powodu powolnego wzrostu gospodarczego, ich rozwiązanie w założeniu wyglądało prosto: przeprowadzić reflację i poradzić sobie z jej kosztami. Jeśli podczas okresu ożywienia bezrobocie zbyt spadło — prowadząc do „przegrzania gospodarki”, jak ujmował to ówczesny żargon, odpowiedzią była deflacja.

Istotą tej prostej wymienialności było sprowadzenie mętnych idei lorda Keynesa ich esencji, czyli centralnego planowania. I uniknięcie niekończących się zawiłości legislacyjnych, które były zmorą okresu Nowego Ładu. Keynesiści uważali, że eksperyment Franklina Delano Roosevelta z polityką antycykliczną nie był dobrze

zaplanowany i naukowo zarządzany — dlatego się nie powiódł. Dzięki powojennej jasności nowego, prostego modelu keynesistów miało się tym razem udać.

Z pewnością udało im się przeforsować swoją koncepcję. W 1971 r. Richard Nixon zniósł pozostałości systemu złota, wreszcie uwalniając dolara z jakiegokolwiek powiązania z fizycznym złotem i pozwalając kursowi dryfować swobodnie jak latawiec na sznurku — a może i bez sznurka. Miał to być keynesowski ideał. Żadnych kajdan. Żadnych barbarzyńskich przeżytków. Żadnych granic tego, co rządowi planiści mogą lub nie. Teraz mogli działać, aby ustanowić społecznie optymalną kombinację inflacji i bezrobocia. Nirwana!

Pamiętajmy, że to była propozycja, którą można było przetestować i obiektywnie ocenić. Jeśli istniałaby relacja wymienna, którą rząd mógłby kontrolować, nie byłoby na przykład wzrostu bezrobocia jednocześnie ze wzrostem inflacji. Najczęściej nie dostrzegaliśmy tego w przeszłości — to prawda. Podczas wielkiego kryzysu ceny ciągle spadały (i za to niech Bogu będą dzięki, bo była to jedyna dobra strona całego tamtego okresu). Nastąpił niewielki wzrost inflacji w połowie lat 50., ale nie na tyle duży, żeby wszcząć alarm.

Potem nadeszły lata 1973–1974. Bezrobocie było wysokie i wzrosło z 4 do 6 procent od punktu szczytowego recesji — tak, w tamtych czasach uważano to za wysoki poziom. Jednocześnie, inflacja wystrzeliła w górę, osiągając wartości dwucyfrowe. Tym samym narodziła się inflacyjna recesja. Był to twór, który nie powinien istnieć zgodnie z przyjmowanym wówczas modelem.

Pisząc esej, zawarty teraz w ogromnym zbiorze [*Economic Controversies*](#), Murray Rothbard wyjaśnia:

Kuriozalne zjawisko inflacji występującej jednocześnie z gwałtowną recesją po prostu nie miało prawa się wydarzyć w keynesowskim świecie. Ekonomiści zawsze wiedzieli, że gospodarka przechodzi albo okres boomu, kiedy ceny rosną, albo jest w recesji czy depresji charakteryzującej się wysokim bezrobociem, kiedy ceny spadają. W czasie boomu keynesowski rząd powinien „wchłaniać” nadwyżkę siły nabywczej poprzez zwiększanie podatków, wg keynesowskiej recepty — czyli usunąć z gospodarki wydatki; z kolei w czasie recesji rząd

powinien zwiększać wydatki i deficyt, aby wpompować pieniądze w gospodarkę. Ale jeśli gospodarka doświadcza w tym samym czasie inflacji i recesji wraz z poważnym bezrobociem, co miałby u licha zrobić rząd? Jak mógłby jednocześnie naciskać pedał hamulca i gazu?

Odpowiedź była oczywista: rząd i jego planiści nie mogli zrobić czegoś takiego. Właśnie wtedy nastąpiła panika i wykorzystywano każdą bzdurną teorię znaną ludzkości, żeby zmniejszyć bezrobocie razem z inflacją. Ale pojawił się problem. Decydenci zawsze i wszędzie są niechętni do przyznawania się do winy. To na pewno nie polityka monetarna jest winna — mówili. Natomiast winę miały ponosić: chciwość przedsiębiorców, nienasycenie konsumentów i panika społeczeństwa — wszystko było winne oprócz samego rządu.

Więc kiedy paradygmat keynesizmu wyraźnie poniósł porażkę, kto w rządzie był gotowy wziąć odpowiedzialność za to niepowodzenie? Nikt. Dlatego sprawy jedynie się pogorszyły, a inflacyjna recesja stała się dla Amerykanów codziennością aż do skandalicznej sytuacji późnych lat 70., który ostatecznie doprowadził Ronalda Reagana do fotelu prezydenta.

Reagan oparł swoją kampanię na opozycji do keynesizmu. Mówił nawet o przywróceniu standardu złota. Powiedział, że zmniejszy podatki i pozwoli gospodarce działać. Z tych obietnic nic nie wyszło, ale wyglądało na to, że istniała wtedy pewna świadomość, że rząd nie jest w stanie cały czas opierać się wiatrom rynku. Oczywiście, rzeczywiste uznanie należy się mianowanemu przez Cartera Paulowi Volckerowi, który jako zwierzchnik Rezerwy Federalnej skonstruował plan realnej redukcji podaży pieniądza i dokonał przełomu w walce z kryzysem. Można go uznać za anty-Greenspana albo anty-Bernankego.

Urzędowanie Greenspana-Bernankego jest tragedią naszych czasów. Fed, Skarb Państwa, prezydent, regulatorzy gospodarki i Kongres zrobili wszystko, co możliwe, żeby przeprowadzić reflację, stymulować, stabilizować i przeciwdziałać siłom rynkowym. Jak można było przewidzieć, przegrali tę walkę. Bezrobocie jest dalej szokująco wysokie, a inflacja znowu rośnie. Ale jest też jeszcze poważniejszy problem. W toku stymulacji gospodarki Rezerwa Federalna wyemitowała ogromne

ilości pieniądza, który zapełnił skarbce jej najlepszych przyjaciół w sektorze bankowym. I te sztuczne rezerwy wydają się teraz przeciekać do obiegu, powodując przerażające fale inflacji cenowej.

Ci, którzy winią za to Obamę, mogliby się jednak zastanowić, czy każdy Republikanin — oprócz Rona Paula — nie zrobiłby czegoś podobnego. Recepta Obamy na odnowę gospodarczą była właściwie stworzona za rządów George'a Busha — dokładnie w taki sposób, w jaki Hoover został pierwszym prezydentem Nowego Ładu. Problemem jest na pewno to, kto zasiada w Białym Domu — ale nie jest to jedyny problem. Kluczową sprawą jest to, że: 1) nasz system monetarny i bankowy jest socjalistyczny i dlatego wpływowa elita używa go do wzbogacania się naszym kosztem; 2) elita polityczna trzyma się keynesowskich pozorów, że rząd jest w stanie prowadzić wojnę przeciw siłom rynkowym. To oraz fakt, że keynesizm wzmacnia elity, jest powodem, dlaczego żalosna i niebezpieczna historia cały czas się powtarza.

W gospodarce rynkowej istnieje długookresowa tendencja do korygowania błędów i zastępowania ich różnymi działaniami wspierającymi ludzi. W administracji państwowej istnieje długookresowa tendencja do ciągłego wypróbowywania tych samych schematów — nie ważne, jak często lub bardzo zawodzą. Keynesizm jest, mimo wszystko, jak wskazuje Joseph Salerno, „ekonomią władzy państwowej”. I to prowadzi nas do fundamentalnego problemu: monopolistycznej jednostki, która rządzi i niszczy społeczeństwo dla swojej własnej korzyści.